

SPOTKANIA

„Klub 1212”.

Rozmowa z Anną Hannową.*

ANNA PATRZAŁKOWA

1 212 – tyle foteli miała widownia wrocławskiego Teatru Polskiego, zanim spłonęła. Stąd wzięła się nazwa Klubu i całego ruchu uteatralnienia szkół, działanie, które w 20 lat od zaistnienia, w 1986 roku zostało ocenione np. w takich słowach: „Uważnie przeczytałem Wasze listy, podpisane 150 nazwiskami, i pomyślałem, że nie ma w Polsce takich cierpień, upokorzeń i ciężarów, których by nie warto znieść dla Was, po to jedynie, aby zasłużyć na recenzje, które przeczytałem i skopiowane umieściłem w swoim archiwum z nadzieją, że one właśnie kiedyś najbardziej zainteresują przyszłych badaczy kultury i mojej dla niej pracy. (...) Ja jestem szczęśliwy, czytając Wasze myśli. Wiem już na pewno, że moja praca trafiła na właściwy grunt. Dlatego na okładce teczek, gdzie trzymam kopie Waszych wypracowań, napisałem: „czytać w chwilach zalamania”. – Z serdeczną wdzięcznością Wasz – Andrzej Wajda.” A teatrolog, Lidia Kuchtówna, tak napisała w recenzji książki Hannowej *Młodość i teatr* (1990): „Jest to dokument głośniejszej akcji upowszechnienia teatru, która poza Wrocławiem nigdzie nie osiągnęła aż takiego sukcesu i rozmachu.” Zastuga w tym niewątpliwa i główna mojej rozmówczyni.

Od prawie 30 lat w pokoju 311 (ocalał z pożaru), na III piętrze budynku teatralnego przy ul. Zapolskiej, ma swój drugi dom.

* * *

Anna Patrzałkova – Skoro nazwa Klubu jest liczbą, zacznijmy od liczb...

Anna Hannowa – Może od daty: zaczęło się wszystko w 1966 roku. Od tamtej pory co rok

* Anna Hannowa – animatorka wychowania młodzieży przez teatr i dla teatru. Konsultant programowy Teatru Polskiego we Wrocławiu

napływa w sezonie 200, 400, bywało nawet 1000 recenzji uczniowskich. Gdyby to zsumować... może zrobię to na trzydziestolecie... W ostatnim sezonie nadesłano 698 tekstów. Jury nagrodziło lub wyróżniło 61 autorów. A szkół zgłosiło się do konkursu 68, najczęściej z Wrocławia i województwa, ale także z Legnickiego i z Wałbrzyskiego. W sumie, w ostatnim sezonie wzięło udział w konkursie ponad 40 tysięcy uczniów.

A.P. – W Twojej książce bilansującej lata 1966-1986 znalazłam nazwiska 106 nauczycieli wyróżnionych, niektórych po wielokroć, wytrwale wiernych idei. Do nauczycieli trzeba będzie wrócić. Wpierw powiedz, jaka praca kryje się za tymi liczbami.

A.H. – Na początku roku szkolnego i sezonu teatralnego kieruję przez kuratoria do wszystkich szkół ponadpodstawowych zaproszenie i ofertę z repertuarem sztuk zaleconych do wspólnego oglądania i wykorzystania w pracy szkolnej. Szkoły, które odpowiedzą na propozycję, tzn. zgłoszą swój udział w konkursie, nadsyłają przez cały rok szkolny świadectwa swojej uteatralniającej działalności, np. lekcji, dyskusji nad przedstawieniem obejrzanym, zdjęć, gazetek, albumów, opisu organizowanych sesji teatrologicznych i spotkań z ludźmi teatru, no i przede wszystkim recenzji. W podsumowaniu wyników współzawodnictwa młodzieżowego jury bierze pod uwagę:

- częstotliwość oglądania przez uczniów przedstawień,
- kulturę bycia w teatrze,
- formy propagowania teatru w szkołach,
- sposoby wykorzystania teatru w uczeniu i wychowaniu,
- udział uczniów w zajęciach Klubu,
- udział i wyróżnienia w konkursie na recenzję.

W tym ostatnim specjalnie są premiowani uczniowie klas pierwszych, co chyba rozumiecie.

A.P. – Co robi Klub? Jak działa?

A.H. – Jest samorządny, ma obieralne władze, dzieli się na sekcje. Najbardziej poznawczy charakter ma Wszechnica Teatralna, czyli regularne (co trzy tygodnie) spotkania ze znawcami dramatu i teatru, o tematyce od antyku po współczesność, „zamawianej” przez polonistów szkolnych. Cykle spotkań planowane

są na trzy lata i odnawiane w miarę dorastania i wymieniania się szkolnych pokoleń. Widownia naszego Teatru Kameralnego ma 300 miejsc i prawie zawsze jest tłoczno. Wykładowców udawało się sprowadzać z całej Polski, teraz trochę trudniej z powodów pieniężnych. Przykładowo: Jan Łanowski mówił o antyku teatralnym, Irena Sławińska o Norwidzie, Jacek Degler o Witkacym.

Klubowe warsztaty teatralne uczą ruchu scenicznego i techniki wymowy. Finałem zajęć jest spektakl, np. ostatnio pantomimiczny *Pinokio*. Zajęcia prowadzi wykładowcy ze szkoły teatralnej. To jest poważne przedszkole przyszłych ludzi teatru.

Od czterech lat Klub patronuje konkursowi „Dramaturgia młodych”. Uczniowie naprawdę piszą najprawdziwsze, pełnospektaklowe dramaty. Z sercem oddaje się tej imprezie i reżyseruje nagrodzone teksty na III Scenie Teatru Polskiego Maciej Wojtyszko.

Siedem lat Klub wydawał gazetkę. W niej młodzież uczyła się pisanie o teatrze i w ogóle wyostrzała swoje pióra – nawet tak bardzo, że ongiś cenzura zdjęła numer.

Pożytecznie działa sekcja dokumentacyjna. Jej członkowie uczą się porządnego opisywania zbieranych materiałów, które są potem rozsyłane i służą w szkolnych bibliotekach.

W sekcji fotograficznej można się nauczyć półprofesjonalnego fotografowania pod okiem artystów-fotografików. Długo prowadził z oddaniem sekcję Kazimierz Helebrandt z wyższej szkoły plastycznej.

A.P. – Najpierw były wielkie liczby, wyglądało to egalitarnie, a teraz widać, że Klub, jak na prawdziwy klub przystało, jest elitarny, przygotowuje profesjonalistów

A.H. – Udaje się nam łączyć to, co elitarnie, z autentyczną, dobrze rozumianą masowością. Do Klubu należy po 30-40 zapaleńców teatralnych z poszczególnych szkół. To oni są nosicielami i krzewicielami tego, co dzieje się w Klubie, a więc też w teatrze. Spośród nich jedna osoba jest najbliższym mi łącznikiem, zna mój adres i telefon domowy, może ze mną w ważnej sprawie nawiązać kontakt o każdej porze dnia i nocy.

A.P. – Andrzej Wajda powiedział kiedyś, że we Wrocławiu się udało i trwa tak długo, bo gdzie indziej „znalazłby się taki drugi wariat, któryby przez tyle lat, tak konsekwentnie pracował z młodzieżą i tyle serca w to wkładał.” Czyli potrzeba Hannowej, potrzeba niewątpliwie dobrego artystycznie,

szanującego młodego widza teatru. A czy potrzeba nauczycieli?

A.H. – Nauczyciel jest filarem tej działalności. Bez zaangażowanych nauczycieli nic by się na trwale nie dało zrobić. Tylko ich pasja może na co dzień udzielać się większym grupom młodzieży, bo jednostki zawsze, na własną rękę pewnie by teatr odnalazły. I żaden odgórny, dyrektorski przydział czynności tej pasji nauczycielskiej na dłuższą metę nie zastąpi. Nauczyciel prowadząc uczniów do teatru, bo mu kazano, to mówiąc językiem teatralnych kulis – pełna kłapa. Mnie otaczają pasjonaci teatralni, niektórzy od 30 lat, ich nazwiska – jak policzyłaś – w liczbie 106 wymieniam w mojej książce.

A.P. – Idealny do takiej współpracy z Tobą nauczyciel?

A.H. – Kocha, a co najmniej lubi teatr i młodzież. I tej drugiej miłości, niestety, dostrzegam teraz mniej, razi mnie ta widoczna pogarda do wykonywanego jakby z musu zawodu, przenoszona na uczniów i wychowanków. No i jednak jest to zwykle polonista, choć współpracowali ze mną pięknie także nauczyciele innych przedmiotów. Jakichże to jednak polonistów ma szkoła, jeśli jej uczniów do teatru prowadzi np. chemiczka. Ta nauczycielska, konieczna miłość do teatru bywa od pierwszego wejrzenia, ale bywa też narastająca. Teatr stopniowo wciąga i nieustannie odmładza.

A.P. – Widzę to niewątpliwie, gdy patrzę na Ciebie. Powiedz, co cię trzyma tyle lat przy teatrze, czy grałaś na scenie?

A.H. – Zagrałam Helenę w *Odprawie posłów greckich*. Kiedy po tryumfalnej premierze wracaliśmy do domu, Hann wyznał mi: „Hanus, ja bym wolał, żeby moja żona nie była aktorką.” I tak, dla Niego, pozostałam w teatrze, ale za kulisami. Wiedzę o teatrze zdobywałam w Poznaniu u prof. Zygmunta Szwejkowskiego. Potem, przez 10 lat, pracowałam w szczecińskim radiu, prowadziłam audycje *Kurtyna w górę* i *Uwaga, gong!* Potem był i do dziś jest Wrocław. Najpierw znów i długo radio. Pierwszy, półgodzinny program zrobiłam z Igorem Przegrodzkim (ciekawe, czy on to opanował?). Wtedy zafascynowała mnie osobowość Jakuba Rotbauma, o którym teraz piszę książkę. Kiedy w Teatrze Polskim nastąpiła Krystyna Skuszanka, zaproponowała mi w 1966 roku stanowisko konsultanta programowo-pedagogicznego, z zadaniem przyciągania i wychowywania widza.

A.P. – Powiedziałaś kiedyś, że cała idea „narodziła się z udręki ludzi teatru”.

A.H. – Tak to było: uczniowie, nawet jeśli przychodzili zapędzani do teatru, to strzelali do aktorów spinaczami, rzucali cukierkami... Podjęłam wyzwanie, ale ponieważ nie uczyłam nigdy w szkole, zatrudniłam się na połowie etatu w X LO jako polonistka, żeby nie być tylko teoretykiem wychowania teatralnego. Właśnie z tego czasu mam jedynych swoich maturzystów i do dziś utrzymuję z nimi kontakt. I tak mi się jakoś zda, że będę trwała, póki będzie trwał mój Klub.

A.P. – I ciągle wymyślasz coś nowego.

A.H. – To mnie właśnie odnawia. Sama sobie programuję i organizuję pracę, szukam spraw i ludzi, poszerzam repertuar działań. Ostatnio wchodzimy z Klubem we współpracę z zagranicą. Moi klubowicze wyjeżdżają na międzynarodowe warsztaty teatralne. Dwa razy byli w Paryżu, zaproszeni przez Stowarzyszenie Inicjatyw

Teatralnych Młodzieży. Tam nasza grupa pod kierunkiem aktora, Krzysztofa Dracza, przedstawiła dobrze przyjętą pantomimę *Świat na opak*. Wyjeżdżaliśmy też do Hanoweru, na zaproszenie tamtejszego Centrum Edukacji Teatralnej.

A.P. – Czy teatr przetrwa tv i wideo?

A.H. – Ależ oczywiście! Nic i nikt teatru nie pokona, żaden ekran nie zastąpi żywego aktora. Teatry narzekają nieraz na małą frekwencję. Wrocław ma potwierdzaną w Polsce opinię dobrej, wdzięcznej widowni. Mam nadzieję, że ma w tym zasługę wieloletnia działalność „Klubu 1212”. U nas na przedstawieniach młodzież zajmuje nie tylko wszystkie fotele, ale też dostawiane krzesła, siedzi na proscenium. Mam wtedy kłopoty, ale ze strażą przeciwpożarową.

A.P. – Dziękuję i życzę tylko takich kłopotów.

A gdyby tak... scenariusz?

MAGDALENA ŚWINIAREK

Z tego, że kawałek chleba spada zawsze na stronę posmarowaną masłem, zdaje sobie sprawę każdy, nawet przedszkolak. Przypominamy sobie jednak o tym dopiero wtedy, gdy nasz posiłek leży na podłodze. „Chlebem” studenta mogłyby być praktyki – niby wie się, że trzeba je odbyć, ale strasznie robi się dopiero w ich przeddzień.

Co zrobić, aby lekcja była ciekawa? W jaki sposób przeprowadzić zajęcia nie nudząc, marnując i zrzędząc? Czy praktykant jest w stanie przekonać trzeźwo myślącego licealistę, że doktor Judym nie był „notorycznym marzycielem”, „mazgajem”, a Ramzes XIII – „młodzieńcem naiwnie kochającym lud”?

W czasie moich praktyk proponowałam uczniom z klasy drugiej LO, aby spróbowali zbudować scenariusz, scenopis na podstawie tekstu zawartego w podręczniku lub dowolnie wybranego fragmentu *Monachomachii* Ignacego Krasickiego. Zadanie poprzedzone zostało zajęciami, w czasie których uczniowie próbowali odnaleźć związki tekstu z osiemnastowieczną rzeczywistością oraz wyznaczyć cechy nowo poznanego gatunku – poematu heroikomicznego. Ćwiczenie domowe miało zachęcić uczniów do ponownego, poprzedzonego lekcyjną analizą, odczytania tek-

stu, samodzielnego wybrania najciekawszego fragmentu oraz zgłębienia tajników warsztatowych proponowanej formy wypowiedzi.

Scenariusz, czy raczej próbę przygotowania tekstu do adaptacji na scenie teatralnej lub na ekranie kinowym, uczniowie wykonywali najczęściej parami lub pojedynczo. Większość prac stanowiły propozycje scenicznej adaptacji fragmentów pieśni pierwszej (pojawienie się Jędzy Niezgody) oraz pieśni piątej (bitwa między zakonnikami). Sporym powodzeniem cieszył się także opis klasztornej poranki i moment wnieśienia *vitrum gloriosum*. Tekst Krasickiego uczniowie „wzbogacali” dokładnymi (czasami wręcz drobiazgowymi) didaskaliami. Na scenie pojawiły się przeróżne meble, naczynia, sprzęty. W mnisich celach wisały krucyfiksy, obrazy, włosienice, ale i skóry dzikich zwierząt. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały z książkami lub butelkami, kielichami, dzbanami i kuflami. W kilku pracach proponowano, aby scenę zbudować z dwóch, kontrastowo wypełnionych przestrzeni – bogato wyposażonej (łóża z puchową pościelą, wygodne fotele, dywany, zastawione stoły, ...) celi mnicha, często przeora oraz biednej, pustej okolicy (miasteczko doprowadzone do skrajnego upadku gospodarczego, degrengolady społecznej).

W tej przestrzeni pojawia się Jędza Niezgody – najczęściej upersonifikowana, podobna do Babrackiej uczniowie dodawali szpony, zmierzwiłone włosy, poszarpany przyodziełek, a do jej rąk wkładali różgi, błyskawice czy węże. Pojawiała się w huku grzmotów, ale i cicho, znienacka. Czasem towarzyszyły jej kolorowe i hałaśliwe